

**GERARD GÓRNICKI**

**Dom na Pacyfiku**  
**(fragment)**

Będziemy mieszkać we własnym domu, uczyć  
się swoich myśli, głosu, światła u powiek, pieśni  
ciała i każde z nas do swego losu doda los ludzi,  
co wśród nocy szukają naszych rąk pomocy...

Tadeusz Nowak *Pieśń o spotkanej  
dziewczynie*

## I

SCIEMNIŁO się, w przełęczach górskich rozświeciły się wsie, zjawił się widok piękny. Wśród drzew rozległego parku, nędznie ubrany, zziębnięty, na pewno wyglądałem na upiora. Dlaczego znalazłem się tutaj? W tym miejscu, o którym nic nie wiedziałem? Kto mi kazał tutaj przyjść? Niejasna odpowiedź nic jeszcze nie znaczyła, tylko myśl o Erazmie, który tutaj mieszkał przed aresztowaniem, była pomocą. Nadchodziła zbawienna noc dla wolnych jak ja i uwięzionych jak Erazm. Rozejrzałem się po starym ariańskim zborze; wewnątrz było puste, ściany miały na sobie pleśń, kamienna posadzka i niestety nic więcej. Wyteżyłem wszystkie siły, żeby nie upaść, poczułem na spoconych plecach zimno, na moją ogoloną głowę spadło kilka olbrzymich kropel deszczu, przyłgnałem do muru, ręką poszukałem mocnego punktu oparcia, nic mnie nie obchodziło, co się tu kiedyś działo, o czym opowiadał mi Erazm. W oknie połyskiwała rozbita szyba. Co ja tu właściwie robię? Nagle pod przeciwległą ścianą trzasnęła zapałka i zgasła, jakiś człowiek przebiegł obok tak szybko, że poruszone przez niego powietrze musnęło mnie po twarzy, jeszcze ktoś, dziewczyna pojawiła się i znikła szepcząc przekleństwa. Po dobrej chwili podszedłem do drzwi z uczuciem, że z trudem wydobywam się z krążącego wokół ludzkiego tłumu. Drewniana okiennica zamknęła się z dzikim hałasem.

Byłem głodny. Siadłem pod ścianą na słomie, pomyślałem, że stary zbór nadal stoi otworem, służąc za schronienie łązgom, kotom, szczurom, żebrakom, pchłom, wszom, uciekinierom, którzy w nim choćby jedną noc spędza pośród pustych kamiennych murów, słomy, szmat, gałęzi, błota, padliny. Leżałem w ciszy, nie mogłem zasnąć z zimna, znalazłem się raczej w grobowcu, którego kształt i rozmiary ukryte były w ciemności, pomyślałem o moich niedawnych towarzyszach niedoli, czyżby też jeszcze nie spali, zajęci rozmowami prowadzonymi półgłosem gdy strażnicy siedzieli w kantynie, a oni leżeli w baraku wyciągnięci na pryczach, pod kocami, palili papierosy, kaszlali, poruszali się swobodnie, albo zaraz po rannym apelu, gdy blokowy nie doliczył się jednego więźnia, to znaczy mnie, wszystkich spędzono na plac apelowy i trzymano cały dzień, uszeregowanych, w ciemnych barchanowych pasiakach, zmarzniętych, i może to trwać nawet całą noc, dopóki mnie nie złapią, a ja leżałem obojętnie na ziemi, pokrytej cienką warstwą mokrej,

cuchnącej słomy, a cisza była równie przytłaczająca jak ciemność. Na chwilę wróciła do mnie dawna przeszłość: matka, bracia, jak siedzieliśmy przy stole w kuchni podczas kolacji, rozbawieni, roześmiani, ale oni nie mogli już dla mnie nic zrobić, byli daleko, o ponad sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, więc tylko mogłem przypomnieć sobie ich łzy po moim aresztowaniu przez Niemców. Chciałem wzrokiem przeniknąć ciemność, lecz stało się to już niemożliwe, wzrok i mowa nie były mi potrzebne do niczego, stałem się nagle zwierzęciem bez twarzy, chwilami miałem wprawdzie wrażenie, że zapadam w sen, zamykałem oczy, wtedy jacyś ludzie nagle znajdowali się obok mnie, obracałem na wszystkie strony głowę, to Erazm dotknął mnie, mruknął ironicznie: „także coś, zachciało ci się wolności”, więc mówiłem, że nie, ja tego nie chciałem, przyszło nagle, bezwiednie, wyrwałem się instynktownie jak kot z zamkniętej izby, bo każdy z nas był zdany sam na siebie i chciał się ratować w sposób, na jaki go było stać, bronić się, skupiając w sobie resztę sił podobnych do jarzących się węgielków dogasającego ognia. Ręką dotknąłem kostropatej powierzchni muru. Spałem? Nie spałem. Milion pytań przemknęło mi przez głowę: kim jestem, czy naprawdę jestem już wolny, czy mnie znajdą Niemcy, zabiorą do Oświęcimia, spalą? Dokąd jutro pójdę? Co ze mną będzie? Usiadłem, głowę oparłem o mur, na szyi poczułem delikatne dotknięcie, podniosłem rękę, złapałem coś żywego i rzuciłem w powietrze, w stronę drzwi, to był z pewnością karaluch, duży, twardy. Nie przyszło mi do głowy, żeby ruszyć się z miejsca. Spojrzałem w głąb zboru, ku wielkiemu zdumieniu dojrzałem zarys jakby ogromnego ołtarza, widocznie majaczyłem.

Ogarnęła mnie depresja, byłem gotów opuścić to miejsce obce, w przekonaniu, że nie przetrwam nocy, nie potrafię zostać w tych czterech ścianach, pierwszy raz od roku sam, bezbronny, bardziej samotny niż w obozie, w owych wysokich zamkach intelektualisty Erazma, zamknięty teraz w klatce, którą lada chwila otworzy policja. Poczułem, jak krew uderzyła mi do głowy, wstałem, ten energiczny ruch dodał mi nieco pewności siebie, w głowie zawirowały mi myśli, dość rozumne myśli: „lasy, góry, wolna przestrzeń, za kilka godzin dzień, nie mogę być idiotą, tylko bez nerwów”. Przeszedłem parę kroków z prawą ręką wyciągniętą do przodu, poczucie ruchu było zbawienne. Nagle usłyszałem czyjeś kroki za ścianą, rozległy się głośnie pytania: „Kto tam jest? Co to za człowiek?”. Przeraziła mnie świadomość, że będę musiał stąd wyjść, że zobaczą mnie ludzie. W drzwiach ukazał się człowiek, wydawało mi się, że mnie widział w tej ciemności. Czarna plama przybrała wyraźnie postać kobiety.

- Kto tam? - zapytała łagodnie, z lekkim strachem w głosie. Tego się nie spodziewałem. Po chwili ciszy drzwi zamknęły się ze zgrzytem, to ona zamknęła je za sobą i powiedziała:

- To nie mógł być Erazm.

Nie wiem, czy się uspokoilem, ale podszedłem do drzwi nie zastanawiając się nad tym, co się stanie, pobiegłem za nią, podmuch wiatru ochłodził mi twarz. Pochyliłem się i patrzyłem na nią, usiłując dojrzeć jej twarz. Stała nieruchoma.

- Niech mi pani pozwoli coś powiedzieć.

- Proszę, słucham.

- Znam Erazma. Uciekłem z obozu. Nazywam się Paweł Górski.

Poczułem się niemal szczęśliwy, że już to powiedziałem. Ona nic nie odrzekła, oczy jej wpatrywały się we mnie jakby z oddali, nieruchome, nie miałem siły na najmniejszy ruch, musiałem zupełnie osłabnąć, bo nie bardzo mogłem przypomnieć sobie póź-niej, jakim cudem znalazłem się w pokoju na poddaszu.

Głos zza drzwi:

- Czekamy na pana z kolacją!

Czułem, że mam wargi wyschnięte, nabrzmiące, bez stóp i bez kości, musiałem spać głęboko, ale krótko. Zatem noc jeszcze się nie zaczęła. Moje zmęczenie było tak ogromne, że nie potrafiłem zdobyć się nawet na zwykłą uprzejmość w odpowiedzi na zaproszenie, tylko: - Zaraz przyjdę.

Usiadłem na łóżku, pokój nie był ogrzany, zacząłem ubierać się w ciemności. Za oknem w dali widniały pokryte lasem wzgórza, niezmiennie granatowe, przybladłe.

Następne dwie godziny niepodobne były do niczego w moim życiu. Byłem w domu Erazma, sam pod jednym dachem z jego żoną i córką, siedziałem ocieżały w jadalni oświetlonej lampą naftową, panicznie głodny i pełen lęku przed słowami, które one wydobywały ze mnie z uporem i z zachęcającym uśmiechem.

Na kolację były kluski z serem, chleb z marmoladą i herbata z sacharyną. Zastanawiałem się, czy to będzie dobrze, jeżeli podziękuję, przeproszę i odejdę, lecz nie miałem siły pozostawić je obie tak w połowie zdania, czułem się zobowiązany do podtrzymania rozmowy. Posmarowałem jeszcze jedną kromkę chleba marmoladą, żona Erazma powróciła z kuchni niosąc dla mnie trzecią szklanekę herbaty, jej twarz była szara ze zmęczenia, pełna napięcia, z lekkim cieniem nadziei.

- Jak się Erazm czuje? Nie narzeka na serce?
- Powiedział, że praca fizyczna go nie męczy.

W ostatnich dniach chodziliśmy do lasu na wyrąb drzewa. Mówił, że czuje się tak, jak gdyby wyciągnięto mu z ciała wszystkie nerwy, że uratuje swoją godność.

- Tak? Tak powiedział naprawdę? - zapytała córka Erazma. Moją uwagę zwróciły jej długie, puszyste włosy.

- Marto! Wiesz dobrze, że tatuś nigdy nie kłamie.

- Sam widziałem, jak pan profesor, w imponującej równowadze ducha, w każdą wolną chwilę spokojnie i pogodnie robił ćwiczenia gimnastyczne, bo wzmacniały one siły, mówił. Nawet na policzkach pojawiał się mu lekki rumieniec, ale nieraz stójki nie wytrzymał.

- Co to jest stójka, mamusiu?

Pani Rybicka zamknęła na chwilę oczy, odgadłem jej uczucie wdzięczności dla mnie, na stole leżała jej sucha, rozgorączkowana dłoń. Spojrzała na mnie tak, jakby zapomniała o mojej obecności, jej drobna twarz, nad którą sterczał zwinięty w kłębek war-kocz, była opanowana.

- Nie bał się pan uciekać?

- Właściwie nie wiem, co robiłem.

- Narażał się pan na śmierć.

- Możliwe.

- Otóż to, młodzieńcza lekkomyślność.

- Możliwe. Ratowałem swoje istnienie.

Gdy mówiła, głos jej załamywał się na granicy łez, bała się o Erazma, ale jej oczy napędlone były zazdrością, nie tyle z powodu mojej przeżytej przygody, ile na widok mojej odzyskanej, względnej wprawdzie wolności. Nie mogłem się roześmiać na taką myśl, aby nie popełnić nietaktu. Istotnie, czułem się tak, jakby mi ktoś zdjął z głowy ogromny ciężar. W dodatku żona Erazma nakarmiła mnie i zapewne za chwilę rozkaże mi położyć się do wygodnego łóżka.

- Czy to nie cudownie, że tatusiowi nie dolega już serce?

- Owszem.

Gorzki, przelotny grymas zjawił się na niepokojąco chudej twarzy Rybickiej i znikł. Zbyt byłem oszołomiony i senny, by próbować powrotu do owego świata wielkich, zawiłych spraw świata, w którym pozostał Erazm, tkwił jak kamień w ziemi, w nawale atakującej nienawiści za swoją filozofię głodu, bowiem twierdził, że w głodzie można wytrwać dłużej, niż się potocznie

mniema, bo uczucie głodu nie ma bezwzględnej przemocy nad człowiekiem, wzmagą się do pewnej granicy, a potem słabnie.

No cóż, nawet w Biblii czy w podręcznikach historii jest bardzo dużo o każdej wojnie, myślę, że to chyba dobrze, żeby nie było wielkich niespodzianek, a jeśli chodzi o te wszystkie okropności, jakie musiałem w obozie widzieć, to... Marta ma coś w swoich niebieskich oczach. Przez chwilę wpatrywałem się w jej twarz, coś do mnie mówiła, jej słowa były bezbarwne, skąpe, tylko uśmiech miała zakłopotany - i tak oto spędziłem pierwsze godziny wolności na wpół pogrążony w lęku, a na wpół ożywiony życiem, do którego, jak wydawało mi się w obozie, już nigdy nie miałem wrócić.

Potem wyszedłem przed dom, dookoła stężała ogromna cisza. Zapatrzyłem się w jedną nisko na niebie stojącą gwiazdę i tak błyszczącą, że jej białe światło wydawało się ciepłe. To Wenus. Nie potrafiłem sobie tylko powiedzieć, jak się to mogło stać, że znajdowałem się poza kolczastymi drutami, mogłem pójść w świat, dokąd mnie oczy poniosą. Z gąszcza drzew wydobywał się orzeźwiający zapach igliwia, w oknie domu Erazma tańczył płomień lampy. Było po prostu wspaniale.

Siadłem na schodach, szczupła postać Erazma, wąska jego twarz o wydatnym nosie zamajaczyła mi, wydała się ogromna i dramatyczna. Czy naprawdę tak powiedział, że nic go w obozie nie męczy? Czy mógł powiedzieć coś innego? Niby co? Każdy przecież znał sytuację własną i cudzą doskonale, ale to było jedyne, co kazał powiedzieć swojej żonie, więc cieszyłem się, że mi się udało to zrobić w sposób najzupełniej prosty i przekonywający jak dobremu aktorowi na scenie. Odwróciłem twarz i spojrzałem w okno, pojawiła się w nim na moment wyprostowana postać żony Erazma, ona chyba uwierzyła mi, bo nie miała innej prawdy pod ręką, byłem naocznym świadkiem, najbardziej wiarygodnym, przyniosłem najświeższe wiadomości z obozu. Erazm przecież żył naprawdę jak owad w kokonie. Każdy wielki uczoney potrafi w każdej sytuacji stworzyć moralny system, który powinien go zbawić!

W nocy spadł śnieg. Słońce od wschodu bieliło drzewa i nagą kamienną ścianę ariańskiego zboru, Pomyślałem, że gdybym był malarzem, mógłbym ten widok namalować, była w nim zagadkowa wspaniałość, pojąłem, że Erazm miał rację zaznajamiając mnie w obozie z tą piękną prawdą, którą znał i na którą patrzył z okna swojej pracowni. Zaledwie uległem fali mimowolnych wspomnień, zamknąłem oczy, zapadłem w drzemkę i gdy pani

Rybicka przyniosła mi do łóżka na tacy szklanek mleka, chleb i jajecznicę, zjadłem to jakby przez sen.

Z okna - od wschodu do zachodu słońca - rozciągała się przede mną biel pustych, samotnych dni, czas, który mi dała pani Rybicka na rekonwalescencję, posiadał rozległość białej pustyni i popielatych nad nią niebios. Przywykłem do tego krajobrazu, stał się powoli zwyczajny; nieuchwytny nastrój odprężenia, który mną owładnął, zaczął mi dokuczać nudą, pozbawił mnie możliwości jakiegokolwiek działania, poczułem się rzucony przez nieobliczalny los w obcy skrawek ziemi, posepnie opuszczonej przez historię, jak zwykł mawiać Erazm o swojej rodzinnej wsi, zostałem postawiony pomiędzy dwie zagadkowe twarze: jego żony i córki. Przez moją głowę przebiegały niemal nieustannie jak huczące fale - myśli o Erazmie, bo nie znałem nikogo innego takiego jak on, jego wiedzę i mądrość czciłem jak starożytni Zeusa, jego wola nieugięta pod ciśnieniem lęku, jego czekanie bez uzalania się na śmierć, jego zgoda na śmierć - wszystko przypominało jakąś utopijną filozofię, gdy mówił, że nasze życie w obozie nie było tragiczne, tylko nabrało poważnej i głębokiej treści, a świadomość śmierci nie może zatruwać człowiekowi radości życia.

Siadłem na łóżku, otworzyłem okno, znad krawędzi muru wpadł do pokoju lekki powiew wiatru i obrzucił moją twarz. Otoczony byłem regałami wypełnionymi po brzegi książkami, obłożonymi kurzem. Wertowałem w nich leniwie. Na półce, za starym zepsutym zegarem znalazłem stertę luźnych kartek, jakieś wypisy z lektur, myśli spisane jakby dla siebie, małe traktaty o włoskich antytrynitarzach i o polskich anabaptystach, urywane w połowie zdania - dialogi, listy, wiersze, notatki, komentarze do Pisma św., nawet rękopis nie dokończony powieści. Faust Socyn - to imię i nazwisko Włocha powtarzało się najczęściej. Zatopiłem się w czytaniu, pojąłem, że był to krok w przeszłość, pograżyłem się całkowicie w lekturę, która zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Erazm miał piękny charakter pisma, każda litera wydawała się być samoistnym arcydziełem. Odczytywałem każde zdanie z uroczystym namaszczeniem, nawet pod-niesionym, ochrypłym szeptem recytowałem wersety pełne średniowiecznej mistycznej mądrości, to znów ciemnoty i mściwości albo spokojnej, ukrywanej miłości, zapomniałem o tym, że pani Rybicka myślała zapewne, że męczyłem się na poddaszu w dusznym pokoju, w samotności i marzyłem o tym, kiedy będę mógł zbiec na parter, do parku, wyruszyć na spacer ścieżkami wśród pól. Znużony w końcu przerywałem czytanie, wystawałem przy oknie, ukryty za rozchyloną firanką,

brudną w niebieskie groszki, czekałem istotnie niby biegacz na starcie naładowany niecierpliwością, czekałem nadejścia ciemności i kolacji, a z nią widoku pani Rybickiej i jej córki, jak również rozmów na przypadkowe tematy, nie ustalone z góry, czekałem tak przy tym oknie, patrzyłem na zbór ariański, dopóki nie ścierpły mi nogi, wracałem na łóżko i znowu ogarniała mnie świadomość losu Erazma, chwilami czułem się, jakbym miał na ręce jego świeżą krew, ale on, pomimo nawracającego, targającego w okolicach żołądka bólu i bólu w piersiach, chciał, abym zachował w pamięci jego uśmiechniętą twarz, abym mógł powiedzieć wszystkim bez wahania, że był silny i zdrowy, a prawdą było to, co widziałem pod tą przybraną maską na jego twarzy, więc postanowiłem ostatecznie, że zaraz po kolacji najspokojniej w świecie pożegnám się i opuszczę dom Erazma, a one i tak nie miały nic więcej do roboty, tylko czekać na tę wiadomość. O Marcie pomyślałem, że zjawi się w jej życiu przystojny, wytworny, bogaty mężczyzna i nie będzie się czuła biedną sierotą, ale to były mgliste myśli o cudzych sekretach, urągania i wyzwania rzucone cudzej przyszłości. Podczas ubiegłej kolacji przyglądałem się Krystynie Rybickiej i Marcie z miną leniwego roztargnienia, całą moją sytuację uważałem za zupełnie niepojętą, moją obecność w ich domu za zbędną, one obserwowały moją twarz, nie doszukały się zapewne w niej jakiegoś szczególnego wyrazu - bólu cierpienia, widziały tylko jej chudość i bladość. Twarz Marty była bardzo dziewczęca, jej miękkie ręce leżały na białym obrusie po obu stronach talerza pełnego mlecznej zupy i tylko wyraz zaciekawienia w jej jasnych oczach świadczył cośkolwiek o niepojmowaniu obecnego życia uwarunkowanego wojną. Zdradzała mimo woli swoim donośnym głosem, że wcale nie czuje się sierotą i nędzarką. Ale ten dom Erazma Rybickiego był jakby nacechowany nieodwracalną, nagromadzoną od wieków - afirmacją pustki i opuszczenia, on, Erazm, tak o nim napisał: „ten dom ma już poza sobą własną śmierć”, widocznie miał na myśli jego wspaniałą przeszłość, kiedy pod jego dachem gromadzili się arianie, bracia polscy nieprzeciętni ludzie, i żył tutaj i umarł sam Faust Socyn, który musiał uciekać z Włoch. One obie - pani Rybicka i jej córka, siliły się na zachowanie wytwornego sposobu bycia, spostrzegłem, że moja obecność zmuszała je do utrzymania pozorów normalnego ludzkiego życia w tym domu, chociaż było z nim tak jak z motylem, który stracił deseń barwnych plam na skrzydłach.

Podczas kolacji mówiłem mało, za to jadłem dużo, na zapas, Rybicka zauważyła to, nawet przestała mnie namawiać, tylko podała okrągłe blaszane pudełeczko z sacharyną, żebym osłodził herbatę, może uświadomiła sobie, że

to wreszcie nastąpi, zanim nadejdzie noc, bo zwlekałem, decyzję opuszczenia ich domu odkładałem z dnia na dzień. Nie spodziewała się zapewne, że to będzie ucieczka, bo gdyby nie lęk przed wiadomością o śmierci Erazma, to przecież nie miałbym właściwie przed czym uciekać. Gdy już wchodziłem po skrzypiących schodach na poddasze, wtedy usłyszałem, jak rozmawiały szeptem w kuchni, poczułem wstyd, obawiałem się, że zawiodą mnie odwaga i męstwo. W pokoju odzyskałem pewność siebie, byłem im wdzięczny za delikatność i dystans, z jakim odniosły się do mojej decyzji, o której nie powiedziałem wprost, tylko zdradzałem swoim zachowaniem się, brakiem ochoty do rozmowy o wojnie i o pracach naukowych Erazma, skracaniem czasu kolacji, podczas której powtarzałem w myśli: „prędzej, prędzej”, stawałem się posępny, zawzięty, nieubłagany, nawet osądziłem już sam siebie, że nie byłem wiele wart i one nie będą żałowały mojego odejścia, to znaczy ucieczki, nawet gdyby zastąpił mi drogę sam Erazm, to zwałbym chyłkiem do własnego, rodzinnego domu, innego niż ten w Lusławicach. Rękopis powieści o Socynie, prześladowanym na Zachodzie za przekonania, znaleziony w pokoju Rybickiego w kącie za antycznym zegarem, owinałem w brudną koszulę, położyłem na dnie tekturowego pudełka i zupełnie jasno, wyraźnie osądziłem swój czyn: to jest kradzież, łatwa, dziwnie spokojna; nie odważyłem się tylko powiedzieć, że to jest też i zdrada, a więc coś jeszcze gorszego, skoro Erazm był moim sąsiadem z siennika obozowego.

I cóż z tego, że Erazm Rybicki był niemal genialny? Został potraktowany jak trędowaty, przynależność do jednego narodu ułożyła się w poprzek jego życia, wywołała nienawiść i mściwość drugiego narodu.

W obozie, w szaropasiastym tłumie jednako terroryzowanych, wyrzucony na śmietnik zagłady nawet nie zauważył, że pospolici ludzie układali mu dramat z jego życia, wcale nie pospolity, grał więc swoją rolę więźnia zupełnie inaczej niż inni, niż ja, widocznie był przekonany, że z tego dramatu przyszłe pokolenia niewiele zrozumieją, że nic go nie ocali, toteż nawet moja ucieczka z obozu nie rozgorączkowała go. Znaczący to, że uwierzył w nieuchronność zbrodni, był obłąkany, wsłuchał się w każdy ustęp dramatu Fausta Socyna zapominając o własnym, w pokoju pełno zapisanych kartek, całe moje tekturowe pudełko było nimi zawałone i cała półka za antycznym zegarem, już nawet myszy obgryzły papier, jak zwykle w starym domu na poddaszu uwijały się swobodnie, nie dawały w nocy spać. Nasłuchiwałem z uwagą i ciekawością, spoglądałem na wpół uchylone drzwi prowadzące na schody, ale było cicho, więc wstałem pośpiesznie, naciągnąłem na nogi gumowe buty z

cholewami, pantofle Erazma wrzuciłem pod łóżko, zapaliłem świecę, przymknąłem drzwi, aby światło nie roznieciło czujności pani Rybickiej, poczułem lekkie drżenie serca wywołane niespokojnymi myślami o nadchodzącej nocy, nie mogłem poddawać się nadmiernej bezwolności, zebrałem już dostateczną ilość sił do wymarszu, chwila stała się ku temu sposobna, nie musiałem się przed nikim tłumaczyć, nie zrobiłem tego również przed Erazmem, to on tłumaczył się przede mną, mówił, że musi czekać na śmierć, bo poniósł klęskę, ale nie mówił tego niemieckim strażnikom, tylko zarazy klęską nie zrywał się do buntu, chciał sprostać na swój sposób naszym czasom, a ja czułem już rozkosz chłodnego wieczornego powietrza i twardych, nieugiętych polnych dróg, więc mogłem zakpić sobie z Erazma, że ułożył system moralny, dobry dla intelektualistów i kaznodziei. Starszy był, dojrzały, może dlatego milczał, tylko słuchał i z twarzy każdego nowego więźnia przyjmował nieruchomy spokój. Erazm miał suche, kościste, blade ręce Lelewela z obrazu, który wisiał w jego pokoju nad biurkiem. Było nadal cicho w domu Erazma. Postawiłem sobie pytanie „Kim jest Erazm Rybicki?“, a właściwie lepiej było zapytać: „Kim on nie jest?“. Na pewno zapytana nagle o to pani Krystyna Rybicka, jego żona, nie wiedziałaby, co odpowiedzieć od razu, więc jeżeli tak, to moja ucieczka stąd nie może być zdradą człowieka, któremu łatwiej wyliczyć zalety, zrezygnowałem z pryncypialności, będzie miał Erazm mogiłę męczeńską, jedną więcej w naszym kraju, bo trapił się zawsze tylko moralnymi nieszczęściami ludzkości. Przełknąłem ślinę.

Erazm walczył samotnie, dlatego mówił, że świadomość śmierci nie może zatruwać człowiekowi radości życia. I to był bunt więźnia. Wolałem w obozie słuchać szumu lip i wierzb stojących za drutami, zatykałem sobie tym uszy, ale Erazm w swoim życiu czuł akordy zwycięskie, a ja uciekłem z obozu, żeby nie skoczyć w przepaść niewoli, dlatego nie nadawałem się na bohatera ani dzieł Szekspira, ani Corneille'a, nie rozumiałem, dlaczego śmierć miałaby mieć jakiś wielki sens. Więc któż ginął w hitlerowskim obozie? A któż to znalazł się na wolności?

Nie była jeszcze późna godzina. Z wieży zakliczyńskiego kościoła odezwało się kilka uderzeń. Zgasłem świece. W ciemności zszedłem po schodach. Wyjrzałem na podwórze. Nie wiadomo skąd i jak, po dniu słonecznym zaczął padać gęsty deszcz ze śniegiem. Przez szparę w drzwiach kuchni wyzierało na sień światło. One szeptały i chodziły na palcach. Cóż za widowisko! Los, już na progu domu Erazma, zadrwił i zakpił ze mnie, z całej tej niespodzianki

byłem wręcz szczęśliwy. Stało się podobnie jak z Erazmem, który niby umierał, i nie umarł w prorokowanym przeze mnie czasie.

Już piąty dzień od próby ucieczki - byłem sam na poddaszu, deszcz lał z małymi przerwami na zmianę ze śniegiem, zimny wichur przebijał się przez dęby i świerki, tłukł w okno, zapas nafty do lampy kończył się, ciągle tkwiła we mnie jak drzazga świadomość, że nie byłem we własnym domu, zresztą Erazm tak samo jak ja, też nie miał domu. Przez szyby zalane deszczem nic nie widziałem, więc kładłem się spać, bo deszcz padał bez przerwy, nie miałem nic do roboty, chciało mi się spać w rytmie wiatru, dobrze było pomyśleć, że coś wygrałem jednak rezygnując z tej drugiej ucieczki, skoro Niemcy łapali młodych i starych po drogach na przymusowe roboty do Rzeszy, więc gdy udało mi się zebrać myśli, cieszyłem się ze swego losu, bo bitwy na wszystkich frontach tej wojny rozgrywały się z dala od domu Erazma, a po ciemnościach, pewnego dnia nagle zrobiło się pogodnie, wyrzało wprawdzie nikłe słońce, ale nareszcie zjawił się przyzwoity dzień.

Przez całe niemal noce czytałem. Doszukiwałem się w każdym zdaniu Erazma czegoś, co pozwoliłoby mi zrozumieć go, szukałem źródeł jego pociechy, jego nadziei, szukałem mitu współczesnego świata, bo wydało mi się nie do pomyślenia, aby nic z tamtych czasów nie potrafiło przetrwać.

Na końcu alei młodych buków stało mauzoleum Fausta Socyna, z czarnego marmuru, tam chodziłem najczęściej z Martą.